

# Fenomen „Gruppy”

Czym byłby artystyczny pejzaż Warszawy bez „Gruppy” — sześciu buntowniczych, prześmiewczych lub — jak kto woli — „niepokornych” artystów, którzy pojawiali się wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego i głośnego, a w niezależnym od państwa życiu artystycznym lat 80. pełnili rolę kotła z wrzątkiem?

Toteż pisano o nich często — robili wokół siebie wiele szumu, skupiali krytyków, tworzyli formację artystyczną, ciągnąc za sobą wielu młodych artystów. Byli przede wszystkim „postaciami”. Wszystkie ich wystąpienia tętniły intensywnym życiem, pełnym prowokującej ironii, groteski, zabawy i skandalu. Nigdy się nie wiedziało, czy kogoś obraża, czy spojrzę łaskawym okiem. Malowali szybko i dużo, chcąc uchwycić każdą chwilę. Wyładować emocje. Tworzyli wizję siebie samych — niedostępnych i szorstkich, twardej „bojowników sztuki”, co wymagało odpowiedniej autokreacji. Pisali więc, mówili, śpiewali, bawili się w teatr czy performance.

Dwaj z nich, Ryszard Grzyb i Włodzimierz Pawlak tworzą także wiersze. Wszystkim im przypisać można fragment „Haikomicznego poematu o przyszłości sztuki w Polsce” Ryszarda Grzyba: „A każdy z nas

Jest jak Belmondo  
Grzywka do pasa  
I w oczach gład”.

Lektura wydawanego przez nich pisma „Oj dobrze już”, autorskich tekstów w katalogach, daje pojęcie o atmosferze towarzyszącej ich wystąpieniom. I te nie kończące się tytuły: długie, kręte, przekorne, odwracające sens

obrazów i słów. Choćby nazwy wystaw i odczytów: „Kobieta ucieka z masłem”, „Szalony młotek”, „Poszerzenie seksualnych perspektyw”, „Twoim bohaterem hołoto jest nuda przynosząca nieszczęście”, „Niemrawy młodzian śpiewa”, „Sztynna wiruje dziewczyna”, „Utrudniają zwierzętom wypluwanie wziętych do pyska przedmiotów”.

Albo tytuły obrazów: „Jedząc świnie, stajesz się świnia” (Grzyb 1988), „Zamaszyste zmartwychwstanie” (Modzelewski 1987), „Co pary Mongołów na jednym koniu wiedzą o śmierci” (Sobczyk 1988), nie mówiąc o tych bardziej dosłownych z początku stanu wojennego: „Zdżichu skacze co noc z Pałacu Kultury z butelkami z benzyną” (Kowalewski 1982). Można by z tego ułożyć niezłe opowiadanie obyczajowe — do którego obraz pozostaje często po prostu ilustracją. Takie to były czasy i może taka na nie broń...

Ale oto teraz ta podziemna sztuka trafiła do szacownych sal „Zachęty”. Członkowie „Gruppy” (Ryszard Grzyb, Paweł Kowalewski, Jarosław Modzelewski, Włodzimierz Pawlak, Marek Sobczyk i Ryszard Woźniak) zostali zaszczytnie uhonorowani jako klasycy minionej dekady.

W tłoku murów podziemi kościelnych, zawieszonych płótnami

przypiętymi w pośpiechu na różnych wysokościach, w ciasnocie Dziekanki czy innych tego typu miejscach — obrazy pełnią rolę fragmentów scenografii (co jest, moim zdaniem, brakiem szacunku dla widza i dla dzieła). Działają ilością oraz swoją niepohamowaną emocją, dociekiwe, drapieżne, krytyczne w stosunku do każdej niemal sytuacji, sarkastyczne, a często pełne gier intelektualnych. I w rezultacie tworzą gwar niemal nie do zniesienia. „Zachęta” bowiem, to nie tamte miejsca, nie tamta atmosfera, a po upływie lat spoglądamy na owe dzieła chłodnym okiem, jako na element historii i ważny, istotny, ale — z pewnymi wyjątkami — nie wytrzymujący próby nowego otoczenia. Przystosowane do innych warunków obrazy nie radzą sobie z ekspozycją w „Zachęcie”. Chyba więc w togach, a nawet w prywatnych smokach klasyków, „Gruppie” nie do twarzy... Oni — jako postaci — powinni zostać buntownikami.

O dość oczywistym fakcie — że okres burzy i naporu już minął, zdają się przekonywać pokazy indywidualne. Oddalił się od malarstwa Włodzimierz Pawlak — rąz fascynując się jednoczącymi sztukę teoriami, innym razem poszukując oczyszczającej bieli, lub też odwracając obrazy malaturą do dołu i butnie tytułując takie działania „Traktatem moralnym”. Ryszard Woźniak zrezygnował z pokazywania większej liczby obrazów, (znanych choćby z prezentacji już w obecnej dekadzie) pozostawiając jako wciąż otwarte pytanie tylko jeden z nich, otoczony gromadą starych szkiców. Może

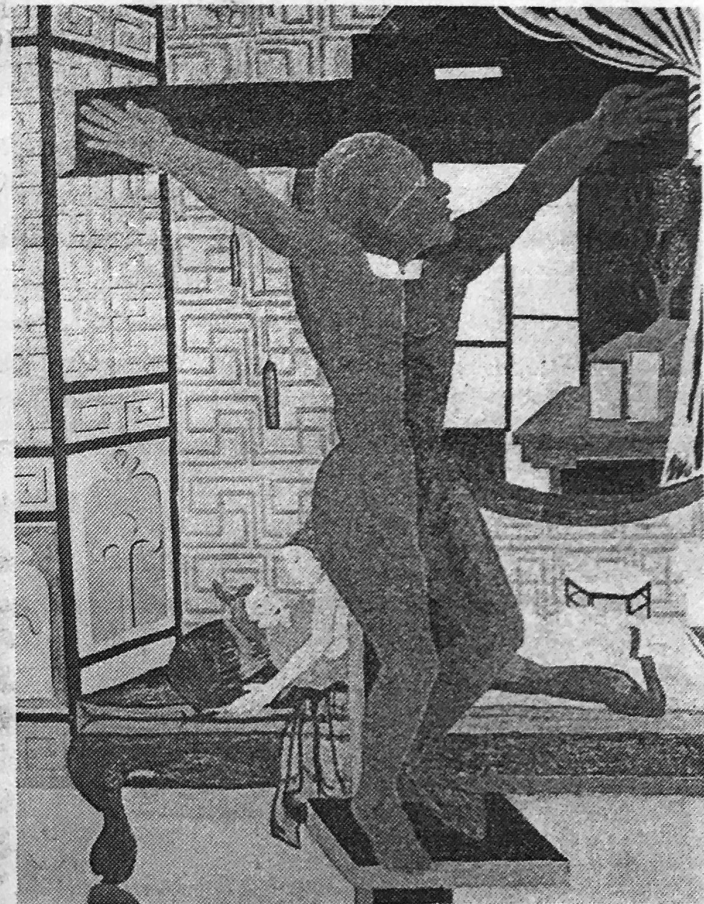
postąpił tak rozczarowany spóźniona o kilka lat wystawą?

Wierny malowaniu pozostaje Ryszard Grzyb, w efektywnym, pełnym koloru cyklu „Nosorożców” — a róg nosorożca jest przecież symbolem płodności, obfitości. Marek Sobczyk zdaje się pogłębiać i uniwersalizować powtarzające się u niego i dawniej symbole, poszukiwać trwałych dla nich odniesień. („O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt”). Paweł Kowalewski wybrał pomysł aktualny, dotyczący coraz silniej dającej o sobie znać dekadencji... A Jarosław Modzelewski po prostu

pozostaje sobą — podąża konsekwentnie obroną kiedyś drogą, stając się najbardziej wyrazistą i bodaj najmocniejszą osobowością dawnej — bo chyba trudno dalej łączyć ich razem — „Gruppy”.

Czyżby więc „Gruppa” straciła swój impet w nowej, nie w pełni określonej sytuacji, w której trudno pozostawać ciągle obrazoburczym, wadzącym się we wszystkim i wszystkimi buntownikiem? „Gruppa” chce nadal poruszać ważne tematy — ale jakie są teraz najważniejsze? Pozostaje legenda?

ZOFIA JABLONOWSKA



Marek Sobczyk — „Ciekawość

żółtego pokoju rodziców” 1988 r.

„NOWY ŚWIAT” S.I. 1993 Nr. 2/338